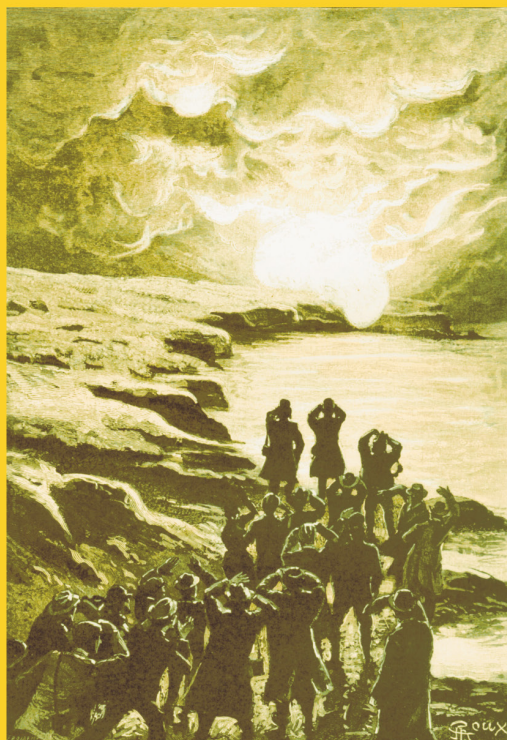


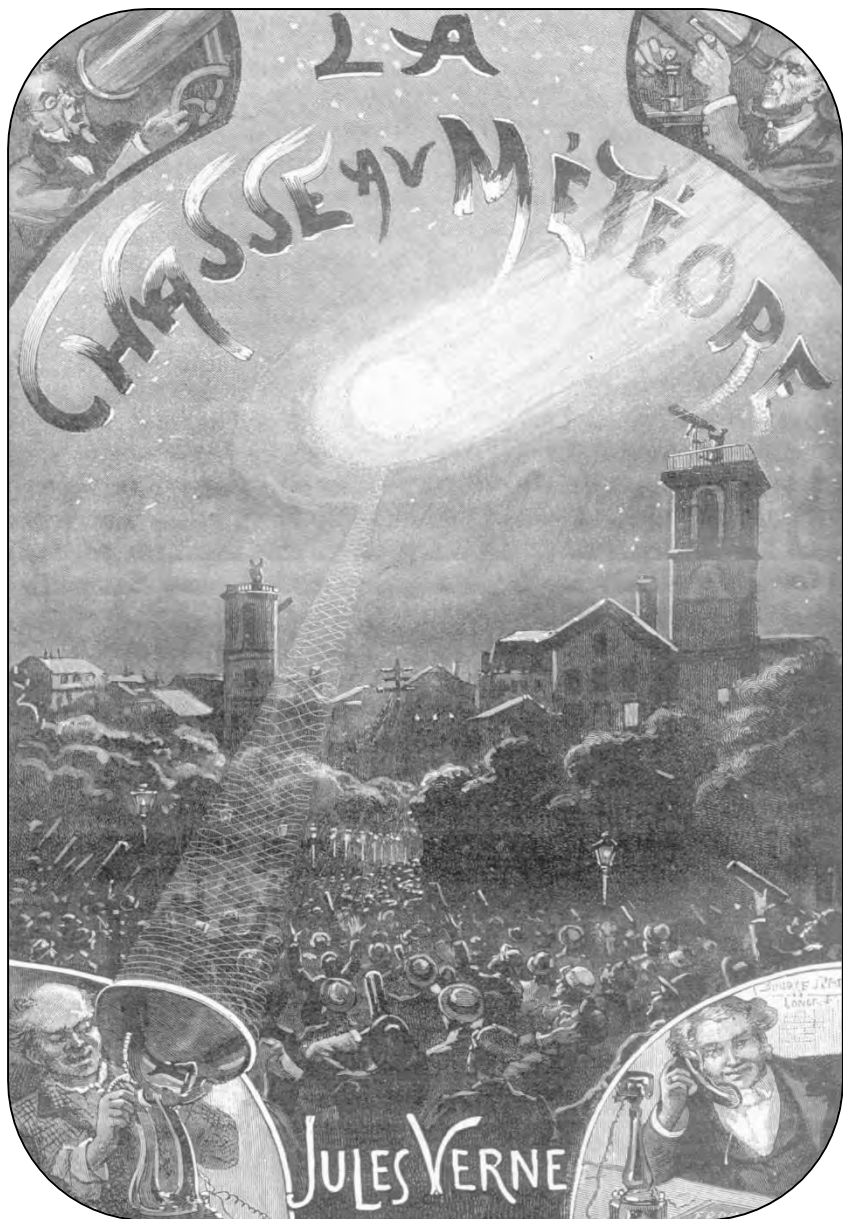


Juliusz Verne

Polowanie na meteor



ISBN 978-83-67876-85-8



Juliusz Verne

**POLOWANIE
NA METEOR**

Juliusz Verne



POLOWANIE NA METEOR

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Sto sześćdziesiąta szósta publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:

La Chasse au météore

© Copyright for the Polish translation
by Janusz Pultyn, 2026

36 ilustracji, w tym 6 kart tablicowych kolorowych:
George Roux
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2026

ISBN 978-83-67876-84-1

Wstęp

Powieść o meteorze ze złota, który dostał się na orbitę Ziemi i zaczął zaprzętać umysły jej mieszkańców, Juliusz Verne napisał w 1901 roku. Był już wówczas prawie zupełnie niewidomy. Nie przestał jednak pracować. Zapełniał kolejne kartki przy pomocy specjalnej linijki, która pomagała mu trzymać się granic papieru. Po nierównym piśmie widać, jak się męczył. Ale się nie poddawał. Tworzył do końca swych dni.

W napisanej z takim trudem powieści na plan pierwszy wysuwały się dwa wątki – małżeństwo i pogoń za pieniędzmi. Choć Juliusz Verne był zafascynowany Ameryką, pod koniec życia ewidentnie zaczął się dystansować od panujących za wielką wodą stosunków społecznych. Rozluźnienie obyczajów, emancypacja kobiet, królowanie kapitału – wszystko to zostało w „Bolidzie” co najmniej wykpiwane, jeśli nie skrytykowane. Autor „Niezwyczajnych Podróż” dopuścił do głosu swój konserwatyzm, jakiemu hołdował przez całe życie, mimo ciekawości świata i całkiem postępowych idei, które propagował w swoich utworach. A może to nie zachowawczość wybrzmiewała w owej powieści, tylko tęsknota za niespełnionym? Wiemy dziś dużo o życiu uczuciowym pisarza, jego małżeństwie z rozsądku, romansach oraz sprawach finansowych. Złoto jako przekleństwo ludzkości było więc też obiektem pożądania – tak jak nieskrępowana możliwość doboru partnerów w dążeniu do szczęścia. To, co Verne zdawał się w tej powieści piętnować, mogło być wyrazem jego skrytych dążeń.

Tekst powieści zatytułowanej „Bolid” został przepisany na maszynę i w takiej formie trafił, wraz z innymi utworami Verne’a, które nie wyszły za jego życia, w ręce jego syna Michela. Ten, w porozumieniu z wydawcą, postanowił „poprawić” i „ulepszyć” dzieło ojca. Przede wszystkim rozbudował je. Pierwopis liczył siedemnaście rozdziałów, a w wersji zmienionej ma ich dwadzieścia jeden. Zmienił tytuł na „Polowanie na meteor” i dodał kluczową postać, jaką jest Zefiryn

Xirdal, ekscentryczny wynalazca, który postanawia sprowadzić kosmiczną bryłę złota na Ziemię. Tym samym Michel Verne „unaukował” powieść, która w zamyśle jego ojca wcale taką nie miała być. Chciał on napisać rzecz „radosną, ironiczną i fantazyjną”, „opowieść czysto wymyśloną”. Syn pisarza uznał jednak, że nazwisko „Verne” zobowiązuje, że jest ono marką, od której odbiorcy oczekują solidności, a nie frywolności. Skoro Juliusz Verne miał żyć i wydawać książki nawet po swojej śmierci, musiał pozostać dobrze znanym apologetą wiedzy, a nie cikliwym romantykiem. Tę jego twarz poznano dopiero w 1986 roku, gdy nakładem Société Jules Verne opublikowany został oryginalny tekst, niezmieniony przez Michela. Na jego polskie wydanie trzeba było czekać do 2021 roku, gdy pod tytułem „Bolid” ukazał się w 85. tomie „Biblioteki Andrzeja”.

Natomiast przeróbka Michela Verne’a wyszła we Francji w 1908 roku (co ciekawe, pod imieniem jego ojca) i w takiej wersji rozeszła się po świecie w postaci licznych przekładów. W Polsce po raz pierwszy ukazała się jeszcze w tym samym roku w odcinkach na łamach „Przyjaciela Dzieci” (pod tytułem „Pogoń”, w anonimowym tłumaczeniu). Następnie miała dwa wydania książkowe w przekładzie Karoliny Bobrowskiej, opatrzonym tytułem „W pogoni za meteorem” (w 1922 i 1925 roku) oraz cztery w tłumaczeniu Wojciecha Natanson, pod tytułem „Łowcy meteorów” (w 1949, 1957, 1973 i 1979 roku). Taki sam tytuł zastosowano w 2016 roku do odświeżonego przedwojennego spolszczenia Bobrowskiej. W niniejszej edycji prezentowany jest pierwszy pełny, współczesny przekład.

dr Krzysztof Czubaszek
prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a



Rozdział I

W którym sędzia John Proth przed powrotem
do swojego ogrodu spełnia jeden
z najprzyjemniejszych obowiązków,
jakie należą do jego zawodu

Brakuje powodów wzbraniających wyjawienie czytelnikom,
że miasto, w którym rozegrały się wydarzenia tej historii,
znajduje się w stanie Wirginia w Stanach Zjednoczonych Ame-

ryki. Jeśli na to przystają, nazwiemy je Whaston i dodamy, że leży we wschodniej części tego stanu, na prawym brzegu Potomaku¹. Uważamy wszakże, że nie zachodzi potrzeba dokładniejszego wskazania jego położenia, podobnie jak daremne byłoby szukanie tego miasta na najlepszych nawet mapach Unii².

Tego roku, rankiem dwunastego marca, chodzący po Exeter Street mieszkańcy Whastonu mogli być zaskoczeni widokiem eleganckiego jeźdźcy, który wolnym krokiem przemierzał tę ulicę w obu kierunkach, a na koniec zatrzymał się na Placu Konstytucji, położonym niemalże w środku miasta.

Jeździec mógł mieć co najwyżej trzydzieści lat. Wyglądał na Jankesa³ czystej krwi, który to typ posiada pewne wyróżniające go cechy. Wzrostu powyżej średniego, o zgrabnej i mocnej budowie ciała, miał kasztanowe włosy, brązową brodę oraz pozbawioną wąsów twarz o regularnych rysach. Okrywający go do stóp obszerny ulster⁴ leżał półokręgiem na zadzie konia. Ze swoim pełnym żywoci wierzchowcem radził sobie ze zręcznością dorównującą stanowczości. Wszystko w jego postawie wskazywało na człowieka czynu, pewnego siebie, a także porywczego. Zapewne w działaniu nie musiał nigdy wybierać między pragnieniem osiągnięciem czegoś a lękiem przed tym, jak to czynią charaktery niepewne siebie. Co więcej, obserwator zauwa-

¹ *Potomak* – rzeka w zachodniej części Stanów Zjednoczonych, płynie mniej więcej na wschód przez stany Wirginia, Wirginia Zachodnia, Dystrykt Kolumbii i Maryland, uchodzi do zatoki Chesapeake Oceanu Atlantyckiego.

² *Unia* – podczas wojny secesyjnej i później określenie tych stanów północnych, które pozostały w składzie Stanów Zjednoczonych, należała do nich Wirginia Zachodnia.

³ *Jankes* – pierwotnie określenie mieszkańców Nowej Anglii, w północno-wschodniej części Ameryki Północnej, następnie obywateli Unii, po wojnie secesyjnej rozszerzone stopniowo na wszystkich obywateli USA.

⁴ *Ulster* – w drugiej połowie XIX wieku szeroki płaszcz z grubego sukna, z pelerynką sięgającą do łokci.

żyłby, że pozór chłodnego opanowania wielce niedoskonale skrywał przyrodzoną mu niecierpliwość.

A w jakim celu znalazł się owego dnia w mieście, w którym nikt go nie znał, nie potrafiłby przypomnieć sobie, że kiedykolwiek go widział...? Czy zamierzał się w nim na jakiś czas zatrzymać...? W każdym razie nie zdradzał zamiaru zapytania kogoś o hotel. W takim przypadku miałby kłopot z wyborem miejsca. W tej kwestii Whaston można jedynie chwalić, gdyż w żadnym innym mieście Stanów Zjednoczonych podróżny nie zostałby lepiej przyjęty, lepiej obsłużony, nie znalazłby lepszego jedzenia, większych wygod, i to za ceny przeważnie umiarkowane. Naprawdę szkoda, że mapy tak niedokładnie ukazują położenie miasta wyposażonego w podobne zalety.

Nie, nie wyglądało na to, aby nieznajomy był skłonny pozostać w Whastonie, a zachęcające uśmiechy hotelarzy na pewno w żaden sposób by na niego nie wpłynęły. Sprawiając wrażenie zamyślnego, obojętnego na wszystko wokół, jechał ulicą przecinającą skraj Placu Konstytucji, którego środek zajmuje rozległy nasyp, nie podejrzewając nawet, że wzbudzał powszechną ciekawość.

A Bóg jeden wie, jak bardzo pobudzona była owa powszechna ciekawość! Odkąd jeździec się pojawił, stojący na progach swoich lokali właściciele i pracownicy wymieniali takie lub podobne zdania:

- Którą ulicą tu przybył...?
- Exeter Street.
- A z której strony przyjechał?
- Mówią, że przez przedmieście Wilcox.
- Minęło już pół godziny, odkąd jego koń krąży po placu.
- Dlatego że czeka na kogoś.
- Zapewne tak, i to nawet z widoczną niecierpliwością.

- Ciągłe patrzy w stronę Exeter Street.
- To stamtąd ktoś przyjedzie.
- A kim będzie ten „ktoś”...? To on czy ona?
- Oho, jest całkiem postawny...!
- A zatem spotkanie?
- Tak, spotkanie, ale inne, niż macie na myśli.
- Skąd możecie to wiedzieć?
- Ponieważ ten nieznajomy już trzeci raz zatrzymuje się przed drzwiami pana Johna Protha...
- Skoro zaś pan John Proth jest w Whaston sędzią...
- To ten osobnik ma jakiś proces...
- A jego przeciwnik się spóźnia.
- Macie rację.
- Jeszcze jak! Sędzia Proth w mgnieniu oka sprawi, że się pogodzą i pojedną!
- To człowiek sprawny w swym zawodzie.
- A także dobry.

I rzeczywiście, mogła to być prawdziwa przyczyna pojawienia się tego jeźdźcy w Whastonie. Wiele bowiem razy istotnie zatrzymywał się, nie zsiadając z konia, przed domem pana Johna Protha. Wpatrywał się wtedy w drzwi, wpatrywał okna, a potem tkwił bez ruchu, jakby oczekiwał, że ktoś pojawi się na progu. Trwało to, dopóki jego koń, niecierpliwie grzebiący nogą, nie skłaniał go do odjazdu.

Kiedy raz jeszcze się tak zatrzymał, oto drzwi otworzyły się na rozcież, a jakiś mężczyzna pokazał się na małym ganku wychodzącym na chodnik.

Kiedy tylko nieznajomy zobaczył tego człowieka, uchylił kapelusza i zapytał:

- Pan John Proth, jak przypuszczam...?
- We własnej osobie – odpowiedział sędzia.



Dom pana Johna Protha

– Mam proste pytanie, które będzie wymagało od pana tylko odpowiedzi brzmiącej tak lub nie.

– Proszę je zadać.

– Czy dziś rano pojawił się tutaj ktoś pytający o pana Setha Stanforta?

– Nic o tym nie wiem.

– Dziękuję.

Wypowiedziawszy to słowo i uchyliwszy po raz drugi kapelusza, jeździec zawrócił i lekkim kłusem ruszył ponownie w stronę Exeter Street.

Odtąd – tak powszechnie uznano – nie budziło już wątpliwości, że ów nieznajomy miał jakąś sprawę do pana Johna Protha. Sposób, w jaki zadał swoje pytanie, wskazywał, że właśnie on był Sethem Stanfortem i że jako pierwszy stawiał się na umówione spotkanie. Nasuwało się jednak inne pytanie, równie palące. Czy minęła wyznaczona godzina owego spotkania i czy nieznajomy jeździec opuści miasto, aby nigdy już do niego nie wrócić?

Nie powinno dziwić, skoro jesteśmy w Ameryce, której obywatele są najbardziej ze wszystkich nacji skorzy do zakładów, że zawierano zakłady, czy nieznajomy rychło powróci, czy też wyjedzie na zawsze. Pracownicy hoteli i ciekawscy zatrzymujący się na placu stawiali pół dolara, a nawet pięć bądź sześć centów, nie więcej, lecz te stawki zostaną sumiennie wypłacone przez przegranych i odebrane przez wygranych, gdyż wszyscy oni byli ludźmi honoru.

Natomiast sam sędzia John Proth poprzestał na śledzeniu wzrokiem jeźdźca, jadącego w stronę przedmieścia Wilcox. Sędzia był filozofem i mądrym urzędnikiem, mającym za sobą co najmniej pięćdziesiąt lat wypełnionych mądrością i filozofią, choć przeżył zaledwie pół wieku. Wynika stąd, że przychodząc na świat, musiał już być filozofem i mędrce. Należy dodać, że ponieważ był kawalerem – co stanowiło niepodważalny

dowód jego mądrości – jego życia nie zakłóciła nigdy żadna troska. To zaś, należy przyznać, znacznie ułatwia kierowanie się w życiu filozofią. Urodził się w Whastonie, z którego bardzo rzadko albo nigdy nie wyjeżdżał, nawet we wczesnej młodości. Był w mieście równie szanowany, jak kochany przez pod sądnych, którzy znali go jako człowieka wyzbytego wszelkich ambicji.

Powodował się zdrowym rozsądkiem. Okazywał zawsze pobłażliwość dla słabości, a często i przewin bliźnich. Rozstrzygając w sprawach ludzi, którzy stawali przed jego skromnym sądem, odsyłał stamtąd przeciwników pogodzonych, w mechanizmach sprawiedliwości tępił ostre narożniki, oliwił tryby, łagodził wstrząsy występujące w każdym ustroju społecznym, nawet najdoskonalszym, jaki tylko może istnieć, gdyż tak pojmował swą misję.

John Proth cieszył się pewnym dobrobytem. Swoje obowiązki sędziego wypełniał, gdyż je lubił, i nie myślał nigdy o zdobywaniu wyższych stanowisk w wymiarze sprawiedliwości. Uwielbiał spokojne życie – swoje i innych. Uważał ludzi za sąsiadów, i utrzymywanie z nimi dobrych stosunków bardzo sobie cenił. Wstawał wcześniej i wcześniej kładł się spać. Choć przeczytał kilku ulubionych autorów Starego i Nowego Świata, to spośród prasy zadowalał się zacną i uczciwą gazetą miejską „Whaston News”, w której ogłoszenia zajmowały więcej miejsca niż polityka. Codziennie wybierał się na trwającą godzinę lub dwie przechadzkę, podczas której stale unosiły się kapelusze witających go ludzi, tak że sam był zmuszony do kupowania nowego co trzy miesiące. Poza tymi spacerami oraz czasem przeznaczanym na zajmowanie się swoją profesją nie opuszczał wcale swojego spokojnego i wygodnego domu, poświęcając się uprawianiu w ogrodzie kwiatów, które za jego starania odwdzięczały się, oczarowując sędziego świeżymi kolorami i zachwycając najśłodszymi woniami.

Poznawszy ten zarysowany kilkoma kreskami portret, umieszczający charakter pana Johna Protha we właściwych ramach, możemy pojąć, dlaczego ów sędzia ani trochę nie zaprzętał sobie głowy pytaniem zadany mu przez nieznanego. Może gdyby ten obcy, zamiast zwrócić się do pana domu, wypytał jego starą służącą Kate, ta zechciałaby dowiedzieć się czegoś więcej. Przyciskałaby owego Setha Stanforta, zapytałaby się, co ma powiedzieć, gdyby ktoś przybył i dowiadywał się o niego. I na pewno zacna Kate zasięgnęłaby języka, czy obcy zamierza albo nie, bądź to rano, bądź po południu, powrócić do domu pana Johna Protha...

Pan John Proth natomiast nie wybaczyłby sobie nigdy takiej ciekawości, takiej niedyskrecji, całkowicie dopuszczalnej u jego służącej, gdyż należała do płci niewieściej. Nie, pan John Proth nie dostrzegł nawet, że przybycie, obecność, a następnie odjazd obcego przyciągnęły uwagę gapiów na placu, i zamknąwszy drzwi swego domu, wrócił do podlewania rosnących w jego ogrodzie róż, irysów, pelargonii i rezed.

Ciekawscy nie poszli jego śladem i pozostali na miejscu, aby się przyglądać.

W tym czasie jeździec dojechał aż do końca Exeter Street, głównej ulicy zachodniej części miasta. Po przybyciu na przedmieście Wilcox, połączone ową ulicą z centrum Whastonu, zatrzymał konia i nie opuszczając siodła, rozejrzał się wokół. Z tego miejsca mógł na dobrą milę objąć wzrokiem okolicę, śledzić oczyma krętą drogę opadającą przez trzy mile aż do miasteczka Steel, leżącego za Potomakiem i ukazującego na horyzoncie swe dzwonnice. Spojrzenie nieznanego bez skutku jednak przemierzało ten trakt. Bez wątpienia nie natrafiło nigdzie na to, czego szukało. Dlatego ów żywymi ruchami wyrażał zniecierpliwienie, udzielające się wierzchowcowi, którego musiał powstrzymywać przed grzebaniem kopytami.

Upłynęło dziesięć minut, po czym jeździec, wracając wolnym krokiem przez Exeter Street, po raz piąty zmierzał na plac.

– Mimo wszystko – powtarzał, sprawdzając zegarek – jeszcze się nie spóźnia... Ma być siedem po dziesiątej, a jest dopiero wpół do dziesiątej... Odległość między Whastonem i Steelem, skąd powinna nadjechać, jest taka sama, jak z Whastonu do Brialu, skąd przybyłem, i można ją pokonać w niecałe dwadzieścia minut... Droga jest dobra, nie pada i nic mi nie wiadomo o zerwaniu mostu przez wezbranie rzeki... Nie ma więc żadnych zawał ani przeszkód... W tych okolicznościach, jeżeli nie stawia się na spotkanie, to dlatego, że go nie pragnie... A wreszcie punktualność polega na zjawieniu się o właściwej porze, a nie na pokazaniu się za wcześnie... Tak naprawdę to ja jestem niepunktualny, gdyż uprzedziłem jej przybycie bardziej, niż wypada to czynić człowiekowi przewidywalnemu... Z drugiej strony, to nawet przy braku wszelkich innych względów, uprzejmość nakazywała, abym pierwszy przybył na spotkanie!

Ten monolog wypełnił cały czas, jakiego nieznajomy potrzebował na ponowne przemierzenie Exeter Street, i zakończył się dopiero w chwili, gdy kopyta konia zaczęły znowu deptać makadam¹ placu.

Niewątpliwie zakłady wygrali ci, którzy stawiali na powrót nieznajomego. Dlatego przyglądali mu się życzliwie, kiedy przejeżdżał mimo budynków, natomiast przegrani witali go jedynie wzruszeniem ramion.

Wreszcie miejski zegar wybił dziesiątą. Nieznajomy zatrzymał konia, odliczył dziesięć uderzeń i sprawdził, że wybita godzina zgadza się idealnie czasem podawanym przez jego zegarek, który wyjął z kieszonki.

¹ *Makadam* – rodzaj nawierzchni drogowej opracowany około roku 1820 przez szkockiego inżyniera Johna Loudona McAdama (1756-1836), stąd nazwa; składa się z dwóch ubitych warstw tłucznia, dolnej gruboziarnistej i górnej drobnoziarnistej, ułożonych na piasku.

Do pory spotkania pozostało tylko siedem minut, a potem od razu zostanie ona przekroczona.

Seth Stanford wrócił więc do wylotu Exeter Street. Najwidoczniej ani jego wierzchowiec, ani on sam nie byli w stanie ustać w miejscu.

Sporo ludzi wypełniało wówczas tę ulicę. Na zmierzających w stronę przedmieścia Seth Stanford nie zwracał najmniejszej uwagi. Całą poświęcał tym, którzy udawali się do centrum miasta, a jego wzrok wychwytywał osoby pojawiające się na szczycie wzniesienia. Exeter Street jest na tyle długa, że pieszy na jej pokonanie potrzebuje dziesięciu minut, ale szybko jadącemu powozowi lub kłusującemu koniowi wystarczyłyby trzy lub cztery minuty.

Naszego jeźdźca piesi ani trochę jednak nie obchodzili. Nie widział ich nawet. Choćby mijał go najbliższy przyjaciel, to pozostałby przezeń niezauważony, o ile szedłby pieszo. Oczekiwana osoba mogła przybyć tylko konno albo w powozie.

Czy wszakże przybędzie o wyznaczonej porze...? Pozostały tylko trzy minuty, akurat tyle czasu, ile jest potrzebne na przejechanie całej Exeter Street, a żaden pojazd nie pojawił się w górze ulicy, ani motocykl, ani rower, ani tym bardziej automobil, który osiągając osiemdziesiąt¹ na godzinę, zjawiłby się przed wyznaczoną minutą spotkania.

Seth Stanford po raz ostatni rzucił okiem na Exeter Street. W jego źrenicy zajaśniał mocny błysk, a jednocześnie wyszeptał tonem niewzruszonego postanowienia:

– Jeżeli nie będzie jej tutaj siedem po dziesiątej, to nie ożenię się z nią.

I jakby w odpowiedzi na to oświadczenie z góry ulicy dobiegł odgłos końskiego galopu. Zwierzęcia tego, wspaniałego wierz-

¹ W oryginale brak jednostki długości, zapewne chodzi o kilometry, choć w Ameryce używane są mile, 80 mil na godzinę to w przybliżeniu 130 km/h.

chowca, dosiadała młoda osoba, panująca nad nim z równie wielką gracją, jak i pewnością siebie. Przechodnie usuwali się przed nim i na pewno aż do placu nie napotka żadnej przeszkody.

Seth Stanford rozpoznał tę, której oczekiwał. Jego twarz przybrała znowu niewzruszony wyraz. Nie wymówił ani słowa, nie wykonał żadnego gestu. Ściągając wodze swojego konia, spokojnym krokiem ruszył w stronę domu sędziego.

Wystarczyło to, aby wzbudzić ponownie ciekawość ludzi; tym razem się zbliżyli, na co nieznajomy nie zwracał najmniejszej uwagi.

Kilka chwil później amazonka wjechała na plac, a jej koń, biały od piany, zatrzymał się kilka kroków od drzwi domu.

Nieznajomy zdjął kapelusz i powiedział:

– Witam miss Arcadię Walker...

– A ja witam pana Seta Stanfорта – odparła Arcadia Walker, kłaniając się pełnym wdzięku ruchem.

I trzeba nam uwierzyć: nikt nie tracił z oczu tej pary, całkiem nieznannej mieszkańcom Whastonu, którzy wymieniali między sobą te zdania:

– Jeśli przyjechali na rozprawę, to najlepiej będzie, jeśli zakończy się ona z korzyścią dla nich obojga!

– Zakończy się, inaczej pan Proth nie byłby tak sprawnym człowiekiem, jakim jest!

– A jeśli żadne z nich nie jest związane małżeństwem, byłoby dobrze, gdyby wszystko zakończyło się ślubem!

Tak mówiły języki, takie uwagi wymieniano.

Seth Stanford i miss Arcadia Walker zdawali się wszakże nie przejmować tą skierowaną na nich krępującą ciekawością.

Seth Stanford miał już zsiąść z konia, aby zapukać do drzwi Johna Protha, kiedy te się otworzyły.

Na progu stanął pan Proth, a za nim tym razem ukazała się jego stara służąca Kate.

Usłyszeli stukot końskich kopyt przed domem i opuścili ogród, a ona kuchnię, chcieli sprawdzić, co się dzieje.

Seth Stanford pozostał więc nadal w siodle i zwrócił się do urzędnika:

– Panie sędzio, jestem Seth Stanford z Bostonu¹ w stanie Massachusetts².

– Bardzo mi miło pana poznać, panie Stanford!

– A to miss Arcadia Walker z Trenton³ w stanie New Jersey⁴.

– Jestem niezwykle zaszczycony przybyciem tutaj miss Arcadii Walker.

I pan John Proth, przyjrzawszy się nieznajomemu, całą swą uwagę poświęcił nieznajomej.

Miss Arcadia Walker była czarującą osobką, każdego więc ucieszy podanie jej krótkiego rysopisu. Jej wiek: dwadzieścia cztery lata; oczy jasnoniebieskie; włosy ciemnokasztanowe; cera gładka i dopiero lekko opalona na świeżym powietrzu; zęby nieskazitelnie białe i równe; wzrost trochę powyżej średniego; sylwetka zachwycająco zgrabna; ruchy pełne rzadko spotykanej elegancji, jednocześnie zwinne i nerwowe. Pod okrywającą ją amazonką⁵ odpowiadała z wdziękiem na ruchy swojego konia, który grzebał kopytami, naśladując wierzchowca pana Seta Stanforda. Jej dłonie w pięknych rękawiczkach dzierżyły wodze,

¹ *Boston* – miasto w USA, port nad Atlantykiem, stolica stanu Massachusetts, jedno z najstarszych miast USA, powstałe w roku 1620, ważny ośrodek przemysłowy i naukowy.

² *Massachusetts* – stan w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, w Nowej Anglii, nad Atlantykiem, osadnictwo angielskie od roku 1620.

³ *Trenton* – miasto w USA, stolica stanu New Jersey, założone w roku 1719, w 1784 krótko stolica Stanów Zjednoczonych.

⁴ *New Jersey* – stan w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, w Nowej Anglii, nad Atlantykiem, osadnictwo holenderskie i szwedzkie od roku 1620, w 1664 ziemie stanu zajęli Anglicy.

⁵ *Amazonka* – strój kobiecy przeznaczony do jazdy konnej.

a znawca rozpoznaby w niej doskonałego jeźdźca. Całą swoją postacią uosabiała wyjątkową wytworność, uzupełnioną owym „nieokreślonym czymś”, które wyróżnia w Unii osoby z wyższej klasy, które można byłoby nazwać amerykańską arystokracją, gdyby to słowo nie kolidowało z demokratycznymi poglądami mieszkańców Nowego Świata.

Miss Arcadia Walker pochodząca z New Jersey posiadała wówczas jedynie dalekich krewnych i mogła robić, co tylko chciała; niezależna dzięki posiadanemu majątkowi, obdarzona żadnym przygód duchem młodych Amerykanek, wiodła życie zgodne z jej pragnieniami. Od wielu już lat podróżowała, odwiedziła główne państwa Europy, znała na bieżąco wydarzenia zachodzące tak w Paryżu, jak i w Londynie, Berlinie, Wiedniu lub Rzymie oraz poruszane tam tematy. O tym zaś, co słyszała i widziała podczas odbywanych nieustannie wędrówek, mogła z Francuzami, Anglikami, Niemcami i Włochami rozmawiać w ich ojczystych językach. Była osobą wykształconą, gdyż dzięki staraniom opiekuna, którego nie było już na tym padole, odebrała wyjątkowo wszechstronne nauki. Nie brakowało jej również umiejętności prowadzenia interesów, czego dowiodła, zarządzając swoim majątkiem z wielką znajomością rzeczy.

Słowa, którymi opisano miss Arcadię Walker, dotyczyły symetrycznie – to właściwe słowo – także pana Setha Stanforta. Równie jak ona niezależny, równie bogaty, także lubiący podróż, krążył po całym świecie, prawie nigdy nie pozostając w Bostonie, swoim rodzinnym mieście. Zimy spędzał jako gość Starego Kontynentu¹ i jego wielkich stolic, w których nieraz spotykał swą poszukującą przeżyć rodaczkę. Na pory letnie powracał do rodzinnego kraju, na plaże, na których zbierały się rodziny ma-

¹ *Stary Kontynent* – w Stanach Zjednoczonych określano tak Europę, z której przybyli przodkowie znacznej większości jej mieszkańców.

jętnych Jankesów. Tam miss Arcadia Walker i on znowu natrafiali na siebie.

Jednakowe zamiłowania powoli zbliżały do siebie te dwie młode i odważne istoty, które zdaniem zgromadzonych na Placu Konstytucji gapiów, a zwłaszcza obecnych tam kobiet, były jakby dla siebie stworzone. I rzeczywiście, oboje młodzi ludzie byli żądni podróży, oboje ruszali bez zwłoki tam, gdzie jakieś wydarzenie na polu politycznym lub militarnym przyciągało powszechną uwagę, dlaczego więc nie mieliby być sobie bliscy? Nic więc dziwnego, że pan Seth Stanford i miss Arcadia Walker stopniowo przywykali do myśli o połączeniu swoich losów, co nie miało ani trochę wpłynąć na zmianę ich nawyków. A zatem nie będzie już odtąd dwóch statków płynących tym samym kursem, ale jeden, o doskonalszej budowie, jak można uważać, lepszym takielunku¹ i przystosowaniu do krążenia po wszystkich morzach globu.

Nie! To nie proces sądowy, chęć rozstrzygnięcia sporu czy załatwienia jakiejś sprawy przywiodło Setha Stanfорта i miss Arcadię Walker przed oblicze sędziego Whastonu. Skądże! Po dopełnieniu wszelkich formalności w stosownych urzędach stanów Massachusetts i New Jersey umówili się na spotkanie w Whastonie, tego dnia, dwunastego marca, dokładnie o tej właśnie godzinie: siedem po dziesiątej, aby dokonał się tam akt, który wedle jego zwolenników jest najważniejszy w życiu człowieka.

Po tym, jak pan Seth Stanford i miss Arcadia Walker przedstawili się sędziemu, o czym już napisano, pan Proth mógł jedynie zapytać przybyłego i przybyłą, w jakim celu się przed nim stawili.

– Seth Stanford pragnie zostać mężem miss Arcadii Walker – odpowiedział przybyły.

¹ *Takielunek* – osprzęt żaglowca, wspólna nazwa omasztowania, ożaglowania i olinowania.

– A miss Arcadia Walker pragnie zostać żoną Setha Stanforta – dodała przybyła.

Urzędnik uklonił się i powiedział:

– Jestem na pańskie usługi, panie Stanfort, i na pani, miss Arcadio Walker.

Oboje młodzi ludzie także się skłonili.

– A kiedy najwygodniej będzie państwu zawrzeć to małżeństwo? – zapytał teraz pan John Proth.

– Natychmiast... jeśli ma pan wolny czas – odrzekł Seth Stanfort.

– Ponieważ opuścimy Whaston, gdy tylko zostanę panią Stanfort – oświadczyła miss Arcadia Walker.

Pan Proth wyraził swoją postawą wielki żal, zarówno własny, jak i całego miasta, że nie mogą zatrzymać na dłużej w swych murach tak uroczej pary, która zaszczyca je teraz swą obecnością.

Następnie dodał:

– Jestem całkowicie do państwa usług.

Wycofał się o kilka kroków, aby odsłonić dostęp do drzwi.

Jednakże pan Seth Stanfort powstrzymał go gestem.

– Czy naprawdę jest konieczne, żebyśmy miss Arcadia i ja zsiadli z koni?

Pan John Proth zastanowił się chwilę.

– W żadnej mierze – stwierdził. – Ślub można zawrzeć równie dobrze na koniu, jak stojąc.

Trudno byłoby spotkać urzędnika bardziej przychylnego ludziom, nawet w kraju równie wyjątkowym jak Ameryka.

– Mam tylko jedno pytanie – odezwał się pan John Proth. – Czy zostały dopełnione wszystkie formalności wymagane przez prawo?

– Zostały – odparł Seth Stanfort. I wręczył sędziemu dwa należycie sporządzone zezwolenia, które zostały spisane przez kancelarie prawne w Bostonie i Trentonie, po uprzednim uiszczeniu wymaganych opłat.

Pan John Proth wziął dokumenty, nałożył na nos okulary w złotej oprawce, dokładnie przeczytał oba pisma, mające wymaganą moc prawną i opatrzone pieczęcią urzędową.

– Dokumenty te są w porządku – powiedział – i jestem gotów wydać państwu akt zawarcia małżeństwa.

Nie powinniśmy się dziwić, że ciekawscy, których liczba wzrosła, tłoczyli się wokół młodej pary, jakby wszyscy byli świadkami zawarcia tego związku w okolicznościach, które w każdym innym kraju uznano by za mało zwyczajne. Nie czynili tego jednak, aby przeszkadzać parze narzeczonych czy też sprawiać im przykrość.

Pan John Proth wszedł teraz na pierwsze stopnie swojego ganku i głosem słyszonym przez wszystkich zapytał:

– Panie Secie Stanfort, czy zgadza się pan pojąć za żonę miss Arcadię Walker?

– Tak.

– Panno Arcadio Walker, czy zgadza się pani pojąć za męża pana Setha Stanforta?

– Tak.

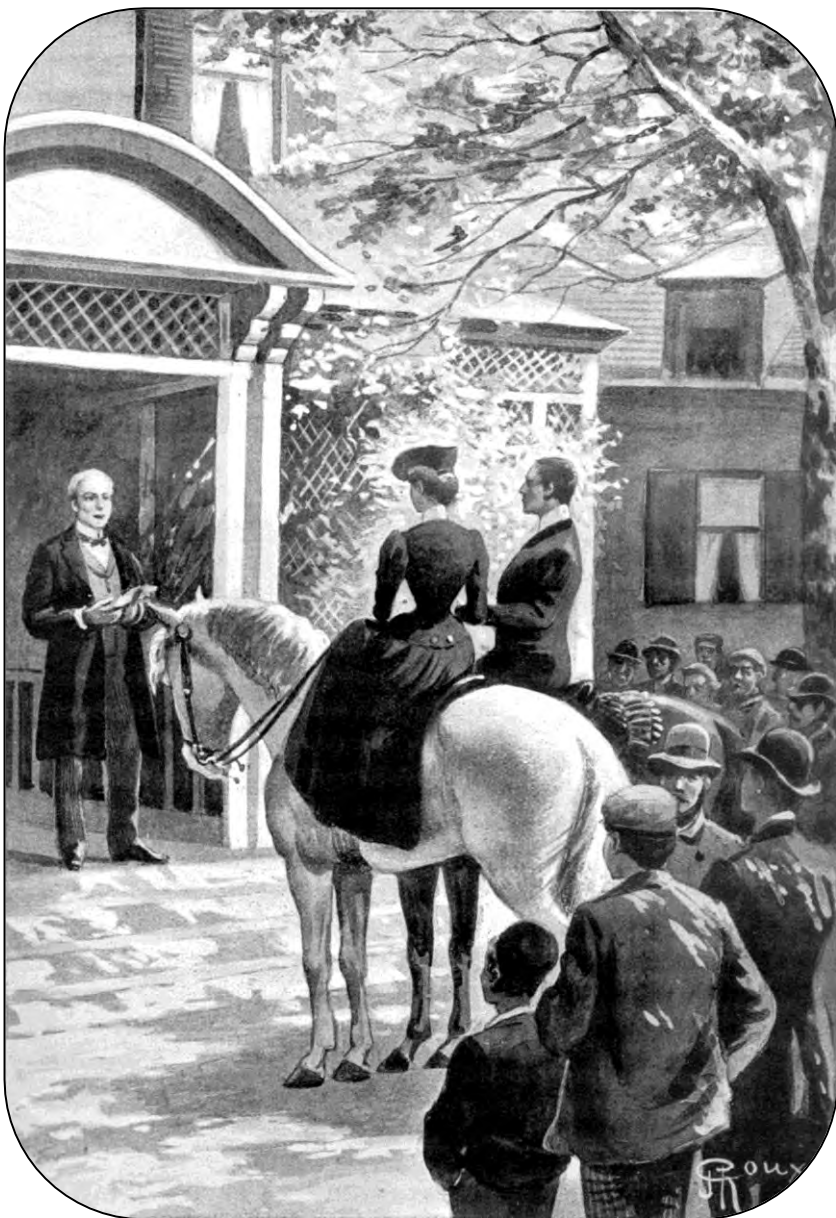
Sędzia skupiał się przez kilka sekund i poważny jak fotograf, który ma rzec sakramentalne: „nie ruszać się...!”, oznajmił:

– W imieniu prawa, panie Secie Stanfort z Bostonu, i miss Arcadio Walker z Trentonu, ogłaszam, że zostaliście połączeni węzłem małżeńskim.

Młoda para zbliżyła się teraz do siebie i wzięła się za ręce, jakby dla przypieczętowania dokonanego właśnie aktu małżeństwa.

Następnie każde z nich podało sędziemu banknot pięćsetdolarowy¹.

¹ *Banknot pięćsetdolarowy* – obecnie w legalnym obrocie najwyższy nominał banknotu dolarowego ma wysokość 100 dolarów, od roku 1861 drukowano jednak nominały wyższe (500, 1000, 5000 i 10 000 dolarów), ich druk zaprzestano w roku 1945; banknot pięćsetdolarowy zawierał wizerunek prezydenta Williama McKinley’a.



– W imieniu prawa, panie Secie Stanfort z Bostonu, i miss Arcadio Walker z Trentonu, ogłaszam, że zostaliście połączeni węzłem małżeńskim.

– Jako opłata – powiedział pan Seth Stanfort.

– Dla biednych – powiedziała Mrs.¹ Arcadia Stanfort.

Potem oboje, ukłoniwszy się sędziemu, popuścili cugle swych koni, a te ruszyły szybko w stronę przedmieścia Wilcox.

– Ojej...! Ojej...! – rzuciła Kate, tak osłupiała teraz ze zdumienia, że przez dziesięć minut nie była w stanie wymówić choćby jednego słowa, rzecz u niej niebywała.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Kate? – zapytał John Proth.

Stara Kate puściła rąbek fartuszka, który od dobrej chwili skręcała niby zawodowy powroźnik.

– Że moim zdaniem, panie sędzio – odparła – ci ludzie są szaleni.

– Na pewno, zacna Kate, na pewno – przyznał pan John Proth, ponownie sięgając po pokojową konewkę. – Ale co w tym dziwnego...? Czyż ci, którzy się żenią, nie są zawsze odrobinę szaleni?



¹ Mrs. (ang.) – w angielszczyźnie amerykańskiej skrót od *mistress*, pani, zwrot grzecznościowy stosowany wobec kobiet zamężnych; w angielszczyźnie brytyjskiej pisany bez kropki.

Rozdział II

Wprowadzający czytelnika do domu Deana Forsytha oraz zapoznający z jego siostrzeńcem Francisem Gordonem i nianią Mitz

Mitz...! Mitz...!
– Tak, synku...?

– Czy coś jest nie tak z moim wujem Deanem...?

– Nic o tym nie wiem.

– Czy jest chory...?

– Skądże znowu! Ale jeśli tak dalej pójdzie, to na pewno zachoruje.

Owe pytania i odpowiedzi wymieniali dwudziestotrzyletni młodzieniec i starsza kobieta w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, przebywający w jadalni domu przy Elisabeth Street, w tym samym mieście Whastonie, w którym doszło do zawarcia najbardziej oryginalnego małżeństwa na sposób amerykański.

Dom przy Elisabeth Street należał do pana Deana Forsytha, mężczyzny w wieku czterdziestu pięciu lat, który na tyle wyglądał. Wielka głowa o rozczochranych włosach, małe oczka za okularami o wielkiej sile, lekko pochylone ramiona, gruba szyja zawsze owinięta podwójnym węzłem sięgającego aż do podbródka krawata, obszerny i pognieciony tużurek, obwisła kamizelka, której dolne guziki nie były nigdy zapinane, zbyt krótkie spodnie, ledwo zakrywające za szerokie trzewiki, tkwiąca na siwiejącej, niesfornej czuprynie przesunięta w tył czapeczka z kutasem¹, twarz pokryta tysiącem zmarszczek i zakończona

¹ *Kutas* – dawniej ozdoba w postaci wiązki nici lub sznureczków, splecionych lub wiszących luzem.

kozią bródką, typową dla Amerykanów z Północy oraz porywczy charakter, będący zawsze na progu wpadnięcia w gniew – oto opis pana Deana Forsytha, o którym rankiem dwudziestego pierwszego marca rozmawiali Francis Gordon, jego siostrzeniec, i Mitz, jego stara służąca.

Francisa Gordona, który w bardzo wczesnym wieku stracił rodziców, wychowywał pan Dean Forsyth, brat jego matki. Choć młody człowiek miał otrzymać po wuju niezły majątek, nie uważał, że z tego powodu ma nie pracować, a pan Forsyth myślał tak samo. Dlatego siostrzeniec po ukończeniu studiów humanistycznych na sławnym Uniwersytecie Harvarda dopełnił je studiami prawniczymi i był teraz adwokatem w Whastonie, gdzie wdowy, sieroty, a nawet mury graniczne nie miały dotąd bardziej zapalonego obrońcy. Znał dogłębnie przepisy prawa i orzecznictwo, na rozprawach przemawiał bez trudu głosem pełnym ognia i trafiającym do słuchaczy. Cieszył się szacunkiem wszystkich swych kolegów, młodych i starych, i nigdy nie narobił sobie wrogów. Był bardzo przystojnym właścicielem ładnych kasztanowych włosów i pięknych czarnych oczu. Jego eleganckie maniery, wyzbyte złośliwości poczucie humoru, gotowość do udzielania pomocy bez narzucania się, sprawność w różnych rodzajach sportów, którym oddawał się z zapałem amerykańskiej *gentry*¹, musiały sprawiać, że należał do grona najznacniejszych młodych mężczyzn swego miasta, i czemu więc nie miałyby kochać czarującej Jenny Hudelson, córki doktora Hudelsona i jego żony Flory, z domu Clarish...?

Za wcześnie jednak, żeby zwracać uwagę czytelnika na tę młodą pannę. Bardziej stosowne będzie wprowadzenia jej na scenę w otoczeniu rodziny, a pora na to jeszcze nie nadeszła. Zresztą

¹ *Gentry* (ang.) – szlachta, tu w znaczeniu przenośnym, gdyż w demokratycznych Stanach Zjednoczonych prawdziwej szlachty nigdy nie było.

wkrótce do tego dojdzie. Ponadto w rozwijaniu tej historii należy zawsze trzymać się ustalonego porządku, co wymaga najwyższej dokładności.

Wracając do Francisa Gordona, dodajmy, że mieszkał w domu przy Elisabeth Street, którego na pewno nie opuścił przed dniem ślubu z miss Jenny... Ponownie jednak zostawmy miss Jenny Hudelson tam, gdzie jest, i powiedzmy jedynie, że niania Mitz była powiernicą siostrzeńca swego pana i kochała go jak syna, albo jeszcze mocniej, jak wnuka, gdyż babcie biją przeważnie rekordy miłości matczynej.

Mitz była wzorem służącej, jakiej nie sposób teraz znaleźć, a wywodziła się z owego wymarłego rodzaju, który przypomina jednocześnie psa i kota – psa, gdyż przywiązuje się do swych panów, kota, ponieważ przywiązuje się do domu. Jak można sobie bez trudu wyobrazić, pani Mitz była szczerą wobec pana Deana Forsytha. Kiedy jej pan się mylił, mówiła mu to wprost, chociaż używając dziwaczного języka, którego fantastyczna smakowitość jest możliwa do oddania jedynie w przybliżeniu. Kiedy zaś nie chciał przyznać się do błędu, pozostawało mu zrobić tylko jedno: ustąpić z pola bitwy, wrócić do gabinetu i zamknąć się tam na cztery spusty.

Pan Dean Forsyth nie musiał się wówczas obawiać, że będzie tam przebywał samotnie. Mógł zawsze liczyć na to, że zastanie tam inną osobę, która również uciekała przed napomnieniami i wyrzutami niani Mitz.

Osobę tę nazywano Omikronem¹. Ten dziwaczny przydomek wynikał z mizernej budowy ciała, i na pewno zostałby nazwany Omegą, gdyby nie był bardzo niskiego wzrostu. Przestał rosnąć po osiągnięciu piętnastego roku życia, mierzył zaś wtedy nie wię-

¹ *Omicron* – piętnasta litera alfabetu greckiego, po grecku dosłownie *o małe* (*mikron*), znacznie mniejsza od mającej podobną wymowę litery omega (*o duże* – *mega*).

cej niż cztery stopy i sześć cali¹. Pod swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem „Tom Wif” pojawił się w domu Deana Forsyth’a jako młody służący za życia ojca jego pana dokładnie w momencie, kiedy przestał rosnąć. Ponieważ zaś osiągnął już więcej niż pięćdziesiąt lat, można obliczyć, że od trzydziestu pięciu służył wujowi Francisa Gordona.

Należy wszakoż powiedzieć, do czego od wielu już lat ograniczała się jego służba – do pomagania panu Deanowi Forsythowi w pracach, do których sługa żywił pasję co najmniej równie wielką jak jego pan.

Czyżby więc pan Dean Forsyth pracował?

Tak, jako amator, ale z jaką ambicją i z jakim zapałem, będziemy mogli przekonać się sami.

A co tak zajmowało pana Deana Forsyth’a? Medycyna, prawo, literatura, sztuka, interesy, jak tyłu obywateli wolnej Ameryki?

Skądże znowu.

– Czymże zatem? – zapytacie. – Naukami ścisłymi?

To także chybiony strzał. Nie naukami ścisłymi ogólnie, ale jedną z nich. Tylko i wyłącznie tą wyjątkową i szlachetną nauką, której nadano nazwę ASTRONOMIA.

Dean Forsyth marzył wyłącznie o dokonaniu odkrycia planety lub gwiazdy. Zdawał się wcale, bądź niemal wcale, nie interesować wydarzeniami zachodzącymi na powierzchni naszego globu, wiódł swe życie w nieskończonych przestrzeniach. Ponieważ jednak nie znajdował tam ani śniadań, ani obiadów, musiał co najmniej dwa razy na dzień je opuszczać. I właśnie tego ranka nie zszedł o zwykłej porze, każąc na siebie czekać, na co gderала krzątająca się wokół stołu Mitz.

– Czy w ogólne nie zejdzie...? – powtarzała.

¹ *Cztery stopy i sześć cali* – około 137 cm; stopa i cal to stosowane w krajach anglosaskich jednostki długości, stopa ma 30,48 cm, a cal 2,54 cm.



Dom Deana Forsyth.

– Czy nie ma z nim Omikrona? – zapytał Francis Gordon.

– Jest zawsze tam, gdzie jego pan – odparła służąca. – *Ale nie mam dość nóg* – tak właśnie naprawdę wyraziła się szacowna Mitz – aby się drapać na jego grzędę!

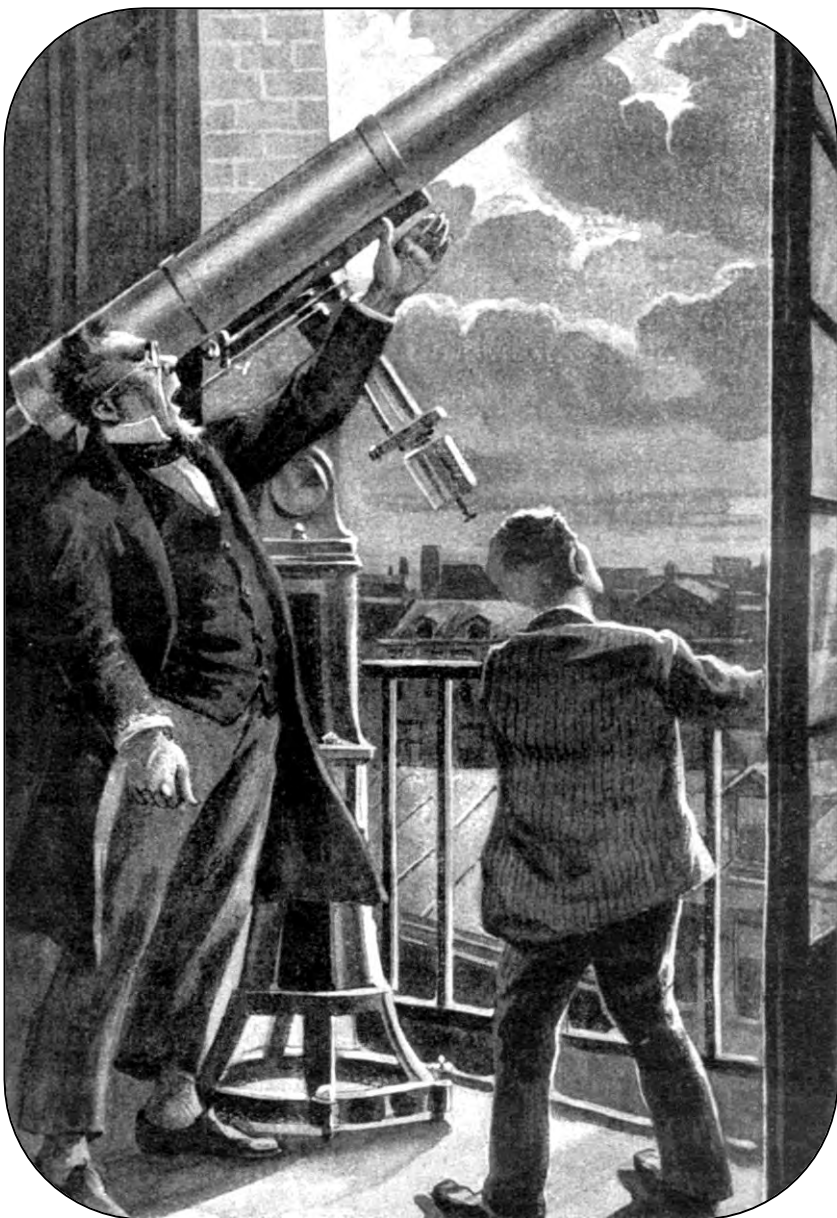
Ową grzędą była – ni mniej, ni więcej – zwieńczona galeryjką wieża o dwadzieścia stóp przewyższająca dach domu, a raczej obserwatorium, na którą to nazwę w pełni zasługiwała. Poniżej galeryjki znajdował się okrągły pokój ze ścianą przebitą czterema oknami, które wychodziły na cztery główne strony świata. W jego wnętrzu obracało się na swych nóżkach kilka lunet i teleskopów o bardzo znacznym zasięgu, a jeśli ich obiektywy się nie zużywały, to nie z powodu bezczynności. Bardziej już należałoby się obawiać, że pan Dean Forsyth i Omikron w końcu zużyją sobie oczy wskutek przytykania ich do okularów owych przyrządów.

To właśnie w tym pokoju spędzali obaj większość godzin dnia i nocy pomiędzy zachodem a wschodem słońca, co prawda na przemian. Wypatrywali, obserwowali, szybowali w strefach międzygwiazdnych. Napędzała ich nadzieja dokonania jakiegoś odkrycia, z którym powiązane zostanie nazwisko Deana Forsytha. Kiedy niebo było czyste, wszystko jeszcze jakoś szło; musiałyby tak jednak być zawsze nad tą częścią trzydziestego siódmego równoleżnika, która przecina stan Wirginia. Lecz chmur, cirrusów¹, nimbusów², cumulusów³, było tam do woli, a na pewno więcej, niżby chcieli pan i jego sługa. Ileż więc padało jere-

¹ *Cirrusy* – chmury pierzaste złożone z kryształków lodu; należą do chmur wysokich.

² *Nimbusy* – obecnie stosuje się nazwę nimbostratusy; chmury warstwowe deszczowe; niskie i bardzo grube (do 6 km), dają najdłuższe i najbardziej obfite opady deszczu lub śniegu.

³ *Cumulusy* – białe chmury kłębiaste o płaskiej podstawie na wysokości 600-2500 m, dają małe opady wody.



Ileż więc padało jeremiad, jakie groźby rzucali firmamentowi,
po którym złośliwy wiatr niósł łachmany obłoków.

miad, jakie groźby rzucali firmamentowi, po którym złośliwy wiatr niósł łachmany obłoków!

A właśnie w ostatnich dniach marca cierpliwość pana Deana Forsytha była doświadczana bardziej niż zawsze. Od wielu dni chmury uparcie zakrywały niebo, ku wielkiej rozpaczcy astronoma.

Tego ranka, dwudziestego pierwszego marca, silny wiatr z zachodu ciągle toczył niemal przy samej ziemi całe morze chmur o przygnębiającej nieprzejrzystości.

– Jaka szkoda! – westchnął po raz dziesiąty pan Dean Forsyth po ostatniej bezowocnej próbie przebicia wzrokiem gęstej chmury. – Mam przecucie, że przechodzi nam koło nosa jakieś sensacyjne odkrycie.

– Jest to całkiem możliwe – odpowiedział Omikron. – A nawet bardzo prawdopodobne, gdyż kilka dni temu podczas przejaśnienia dostrzegłem chyba...

– Ja też dostrzegłem, Omikronie...

– No to obaj, obaj jednocześnie!

– Omikronie...! – zgromił go pan Dean Forsyth.

– Tak, pan pierwszy, bez najmniejszych wątpliwości – przystał Omikron, kiwając znacząco głową. – Kiedy jednak dostrzegłem, jak sądzę, rzeczony obiekt, odniosłem wrażenie, że musi to być... że jest to...

– A ja – oświadczył pan Dean Forsyth – twierdzę, że był to meteor przesuwający się z północy na południe...

– Tak, panie Deanie, prostopadle do kierunku drogi słońca.

– Pozornej drogi, Omikronie.

– Pozornej, to oczywiste.

– I było to szesnastego obecnego miesiąca.

– Szesnastego.

– O siódmej trzydzieści siedem minut dwadzieścia sekund.

– Dwadzieścia sekund – powtórzył Omikron – jak stwierdziłem to na naszym zegarze.

– I od tego czasu się pojawił! – zawołał pan Dean Forsyth, wygrażając niebu wyciągniętą ręką.

– Jak miałyby się pojawić? Chmury...! Chmury...! Chmury...! Od pięciu dni na niebie nie ma dość błękitu, aby go wystarczyło na chustkę do nosa!

– Robi tak umyślnie! – zawołał Dean Forsyth, tupiąc nogą. – I naprawdę myślę, że takie rzeczy spotykają tylko mnie.

– Nas – poprawił go Omikron, który uważał się za autora połowy prac swego pana.

W rzeczywistości równe prawo do takich skarg, gdy gęste chmury zasmucały ich niebo, mieli wszyscy mieszkańcy tamtych stron. Jeśli słońce świeci albo nie świeci, to dla każdego.

Przy całej wszakże powszechności tego prawa nikt nie sprzeciwiał mu się równie szaleńczo i nie przejawiał z jego powodu równie złego humoru jak pan Dean Forsyth. Czynił to, kiedy miasto otulała jedna z owych mgieł, przeciwko którym bezsilne są najpotężniejsze teleskopy i najdoskonalsze lunety. A takie mgły nie są rzadkie w Whastonie, choć miasto leży nad przejrzystymi wodami Potomaku, a nie nad zamulonym nurtem Tamizy.

A co takiego szesnastego marca, kiedy niebo było czyste, dostrzegli – albo uważali, że dostrzegli – pan i służący...? Nic innego aniżeli bolid¹ o kulistym kształcie, przesuwający się z ogromną prędkością wyraźnie z północy na południe, mający taki blask, że walczył zwycięsko z rozproszonym światłem słońca. Ponieważ jednak musiał być oddalony od Ziemi o sporą liczbę kilometrów, to pomimo swej prędkości mógłby być śledzony przez znaczny czas, gdyby nie nadciągnęła niewczesna mgła, wykluczając wszelkie obserwacje.

¹ *Bolid* – meteor o jasności większej niż Wenus (-4 wielkości gwiazdowej).

Od tej pory toczył się nurt żali wywołanych tym niefortunnym zrzędzeniem. Czy bolid powróci nad horyzont Whastonu? Czy będzie możliwe obliczenie składowych jego ruchu, ustalenie jego masy, wagi, rodzaju? Czy nie znajdzie się jakiś inny astronom, mający większe szczęście, który dostrzeże go w innym miejscu nieba? Czy Dean Forsyth, który przez tak krótki czas tkwił u końca swego teleskopu, nabierze praw, by nazwać to odkrycie swoim nazwiskiem? Czy cały zaszczyt nie przypadnie koniec końców jednemu z tych uczonych Starego lub Nowego Kontynentu, którzy całe swe życie poświęcają na przeszukiwaniu nocą i dniem przestrzeni nieba?

– Rabusie! – zżymał się Dean Forsyth. – Piraci nieba!

Przez cały poranek dwudziestego pierwszego marca ani Dean Forsyth, ani Omikron pomimo niekorzystnej pogody nie mogli się zdobyć na to, by oddalić się od okien wychodzących na północ. A ich gniew w miarę upływu godzin stale narastał. Przystali już z sobą rozmawiać. Dean Forsyth przemierzał wzrokiem rozległy horyzont, zamknięty od tej strony przez kapryśnie wycięty zarys Wzgórz Serbor, nad którymi przeciągały gnane mocnym wiatrem szarawe chmury. Omikron stawał na palcach, aby zwiększyć zasięg wzroku, ograniczony jego nikczemnym wzrostem. Pierwszy z nich złożył ręce na piersi, do której przyciskał zaciśnięte pięści. Drugi zaś bębnił skurczonymi palcami po parapecie okna. Kilka ptaków przeleciało bardzo szybko, wydając ciche wołania, jakby kpiły sobie z pana i jego sługi, że jako dwunodzy są przykuci do powierzchni ziemi...! Och! Gdyby mogli pofrunąć w ślad za ptakami, ci ludzie w kilku wzlotach przebiliby się przez warstwę obłoków i w oślepiającym świetle słońca może zdołaliby dojrzeć ponownie asteroidę¹, podążającą nadal swoją drogą!

¹ *Asteroida* – małe ciało niebieskie krążące dokoła Słońca, głównie w tzw. pasie planetoid pomiędzy orbitami Marsa i Jowisza; są na ogół nieregularnymi bryłami o średnicach rzędu kilometrów; niektóre mają swoje księżyce.

W tej chwili zapukano do drzwi.

Dean Forsyth i Omikron, zamyśleni, nie usłyszeli tego.

Drzwi się otworzyły i na progu pojawił się Francis Gordon.

Dean Forsyth i Omikron nawet się nie obejrżeli.

Siostrzeniec podszedł do wuja i delikatnie dotknął jego ramienia.

Pan Dean Forsyth skierował na siostrzeńca spojrzenie tak odległe, jakby przybył on z Syriusza¹, albo może z księżycą.

– Co się stało? – zapytał.

– Wuju, śniadanie czeka.

– Och! Naprawdę? – rzucił Dean Forsyth. – Śniadanie czeka? No cóż, my także czekamy!

– Czekacie... na co?

– Na słońce – oznajmił Omikron, którą to odpowiedź potwierdził gestem jego pan.

– Ależ, wujku, nie sądzę, żebyś zaprosił słońce na śniadanie i do stołu możemy usiąść bez niego.

Co można było na to rzec? Czy jeśli promienna gwiazda nie pokaże się przez cały dzień, to pan Dean Forsyth będzie uparcie pościł aż do wieczora?

Może mimo wszystko tak, gdyż astronom nie wyglądał na skłonnego przyjąć zaproszenie swego siostrzeńca.

– Wujku – nalegał Francis Gordon – ostrzegam cię, Mitz się niecierpliwi.

Pan Dean Forsyth odzyskał od razu poczucie rzeczywistości. Wiedział, jak mogła się niecierpliwić zacna Mitz. Skoro wysłała doń gońca, to sytuacja była poważna i powinien ulec bez dalszego zwlekania.

– Jaką zatem mamy godzinę? – zapytał.

¹ Syriusz – *Alfa Canis Majoris*, gwiazda ciągu głównego w Konstelacji Wielkiego Psa, najjaśniejsza (-1,47 magnitudo), z widocznych z Ziemi (po Słońcu), nawet niekiedy w ciągu dnia, odległa o 8,6 lat świetlnych.

– Jedenastą czterdzieści sześć – odparł Francis Gordon.

Rzeczywiście, zegar z wahadłem wskazywał tę godzinę, zwykle zaś to dokładnie o jedenastej wuj i bratanek zasiadali do stołu naprzeciwko siebie.

– Jedenastą czterdzieści sześć! – zawołał pan Dean Forsyth, udając wielkie niezadowolenie, które miało ukryć jego przestroch. – Nie pojmuję, jak Mitz może być tak niepunktualna!

– Ależ, wujku – zaprzeczył Francis – już po raz trzeci nadaremnie pukamy do drzwi.

Zamiast odpowiedzieć, pan Dean Forsyth ruszył ku schodom, natomiast Omikron, który służył zwykle przy posiłkach, pozostał w obserwatorium, czyhając na powrót słońca.

Wuj i siostrzeniec weszli do jadalni.

Obecna tam Mitz spojrzała w twarz swemu panu, a ten spuścił głowę.

– A *Umyjkrqg...*? – zapytała niania, gdyż tak właśnie w swej prostocie wymawiała nazwę piątej samogłoski greckiego alfabetu.

– Jest zajęty na górze – odparł Francis Gordon – i dziś rano obejdziemy się bez niego...

– Z przyjemnością! – oświadczyła zrzędliwie Mitz. – *Kwienie!* Niech zostaje w swoim *lebsanatorium* (obserwatorium), jeśli tak mu się tam widzi. Tu pójdzie tylko lepiej bez tego *jadaco* (*ladaco*) pierwszej klasy.

Rozpoczęło się śniadanie, a usta otwierano wyłącznie w celu jedzenia. Mitz, lubiąca rozprawiać podczas przynoszenia potraw i zmieniania nakryć, miała zaciśnięte zęby. To milczenie ciążyło, ta powściągliwość drażniła. Dlatego też Francis Gordon, pragnąc z tym skończyć, zapytał, aby cokolwiek powiedzieć:

– Czy wujek jest zadowolony z dzisiejszego poranka?

– Nie – odpowiedział pan Dean Forsyth. – Stan nieba nie jest korzystny, a ta niepogoda zwłaszcza dzisiaj mnie martwi.

– Czyli wujek jest na progu jakiegoś odkrycia astronomicznego...?

– Tak sędzę, Francisie. Nie mogę jednak być go pewny, dopóki nowe obserwacje...

– Czyli to dlatego pracuje pan od tygodnia, a nawet zapuszcza korzenie w swojej wieży, i wspina się tam nocami... – przerwała mu oschle Mitz. – Tak! Trzy razy ostatniej nocy! Dobrze pana słyszałam, gdyż, Bogu dzięki, *nie jestem ślepa na uszy*, a jakże! – dodała, odpowiadając na gest swego pana i aby dobitnie dać mu znać, że nie jest jeszcze głucha.

– A jakże, moja dobra Mitz – potwierdził pan Dean Forsyth ugodowym tonem.

Daremnie się przymilał.

– Odkrycia *astrokomicznego*! – ciągnęła z pogardą zacna służąca. – A kiedy będzie pan tak tam *tykwil*, kiedy z powodu gapienia się w swoje *rury* złapie pana atak *derki* (nerki), *kłamanie w gościach* (łamanie w kościach) albo *zawalenie* (zapalenie) płuc, to się pan *doigóra* (doigra)! Czy gwiazdy wtedy przyjdą, aby się panem opiekować, a doktor przepisze je panu, żeby były lykane jak pigułki?

Rozpoznawszy, dokąd zmierza ten dialog, Dean Forsyth zrozumiał, że najlepiej robi, nie odpowiadając wcale. Jadł odtąd w milczeniu, tak jednak wystraszony, że kilka razy wziął szklankę za talerz i odwrotnie.

Francis Gordon zmuszał się do podtrzymywania rozmowy, ale jakby mówił na pustyni. Jego wuj, ciągle zasepiony, zdawał się go nie słyszeć. Zdesperowany siostrzeniec posunął się nawet do tego, że zaczął mówić o pogodzie. Kiedy ludzie nie wiedzą, jakie tematy poruszyć, rozprawiają o pogodzie, jaka jest, była lub jaka będzie. Dziedzina ta jest niewyczerpalna i w zasięgu każdego rozumu. A na dobitkę stan pogody interesował pana Deana Forsytha. Dlatego też w pewnej chwili, w którym mocniejsze zachmurzenie sprawiło, że w jadalni zrobiło się ciemniej, Francis Gordon podniósł głowę, spojrzał w okno i pozwalając swej osłabionej z przygnębienia dłoni upuścić widelec, wykrzyknął:

– Czy te przekłete chmury nie odsłonią wreszcie nieba choćby kosztem ulewnego deszczu?

– No pięknie! – oświadczyła Mitz. – Po trzech tygodniach suszy nie byłoby to złe dla ziemi.

– Ziemi...! Ziemi...! – szepnął pan Dean Forsyth z pogardą tak głęboką, że sprowokowała odpowiedź starej służącej.

– Tak, ziemi, proszę pana. Uważam, że jest w pełni warta nieba, z którego nigdy pan nie chce schodzić... nawet w porze śniadania!

– Przestań, nianiu Mitz... – odezwał się Francis Gordon, chcąc ją ułagodzić.

Wszystko na nic. Złego humoru niani Mitz nie można było łatwo uśmierzyć.

– Nie ma żadnego „nianiu Mitz” – ciągnęła tym samym tonem. – Naprawdę na co się zda *wysilanie temperamentu* gapieniem się na księżyc, skoro się nie wie, że na wiosnę padają deszcze. Jeśli nie ma padać w marcu, to kiedy? Pytam się pana.

– Wujku, to prawda, że mamy marzec, początek wiosny, i trzeba się z tym liczyć...! – zgodził się z nią siostrzeniec. – Niedługo jednak nastanie lato i doczeka się wujek czystego nieba. Będzie mógł wtedy pracować dalej w lepszych warunkach! Odrobinę cierpliwości, wujku!

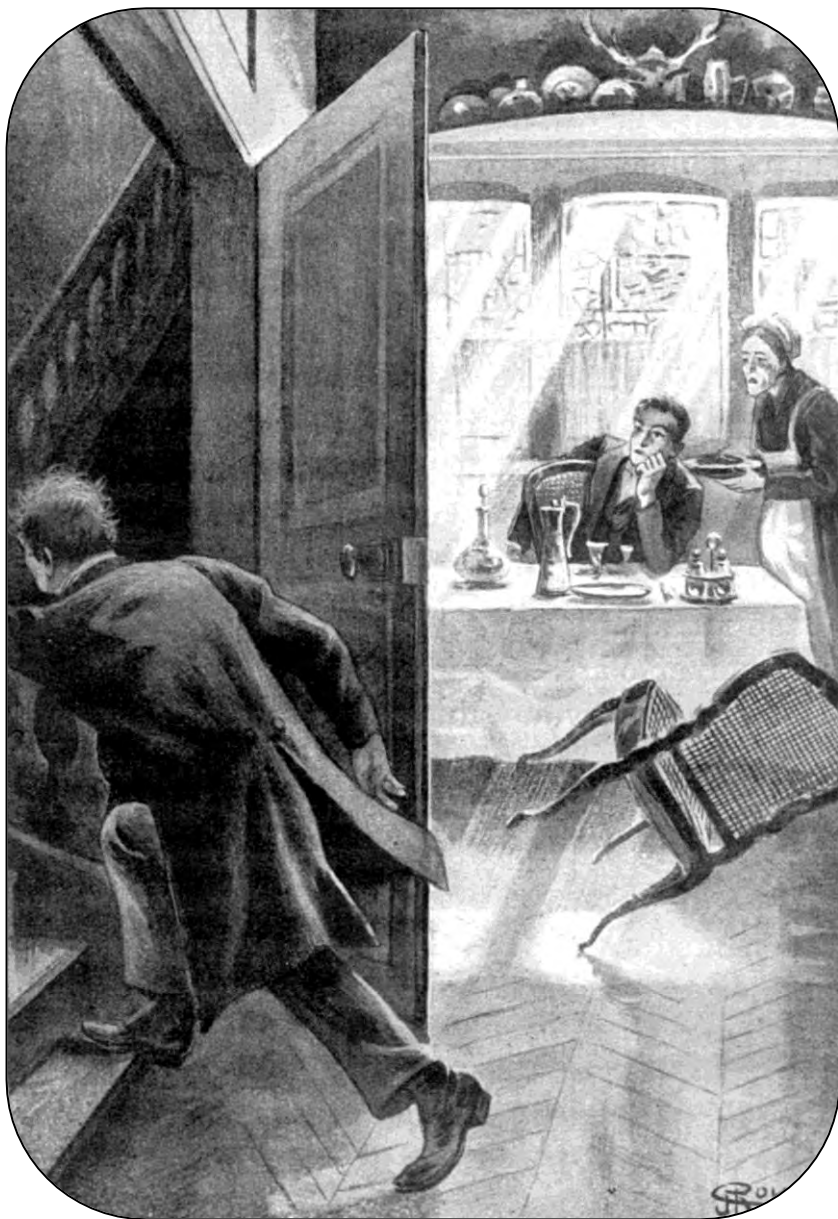
– Cierpliwości, Francisie? – odparł pan Dean Forsyth, którego czoło było równie zachmurzone jak niebo. – Cierpliwości...! A co, jeśli odleci tak daleko, że zobaczenie go stanie się niemożliwe...? A co, jeśli nie pokaże się więcej nad horyzontem?

– Go...? – wtrąciła się Mitz. – Jakiego go?

W tej chwili rozległ głos Omikrona:

– Proszę pana...! Proszę pana!

– Zaszło coś nowego! – zawołał pan Dean Forsyth, pośpiesznie odsuwając krzesło i ruszając ku drzwiom.



– Słońce...! Słońce...! – powtarzał pan Dean Forsyth,
z wielkim pośpiechem pędząc po schodach.

Zanim do nich dotarł, przez okno wpadł jasny promień, rzucając świetliste błyski na stojące na stole szklane naczynia i butelki.

– Słońce...! Słońce...! – powtarzał pan Dean Forsyth, z wielkim pośpiechem pędząc po schodach.

– *I Bóg tego pozwala!* – powiedziała Mitz, siadając na krześle. – Oto poszedł, a kiedy w *lebsanatorium* zamyka się na cztery spusty ze swoim *Umyjkrągiem*, można go sobie wołać. Jakby zerwał go kwiat (porwał go wiatr). A śniadanie zje się samo, mocą *Mucha Ściętego* (Ducha Świętego)... I to wszystko dla gwiazd!

Tak w swoim wymyślnym języku wyraziła się znakomita niania Mitz, choć jej pan nie mógł tego usłyszeć. A zresztą choćby usłyszał, wszystkie te słowa poszłyby na marne.

Pan Dean Forsyth, zasapany po wspinaczce, wszedł do swojego obserwatorium. Południowo-zachodni wiatr nasilił się i przegnał chmury na wschód. Rozległe przejaśnienie uczyniło widocznym aż do zenitu¹ cały obszar nieba, na którym zauważono meteor. Promienie słoneczne oświetlały pokój.

– Co tam...? – zapytał pan Dean Forsyth. – Co mamy?

– Słońce – odparł Omikron – ale nie na długo, gdyż chmury pojawiają się znowu na zachodzie.

– Nie ma nawet minuty do stracenia! – zawołał pan Dean Forsyth, celując lunetą, podczas gdy służący robił to z teleskopem.

I przez jakieś czterdzieści minut z jakąś pasją wpatrywali się w swe przyrządy! Z jakąś cierpliwością obracali śrubami, aby utrzymywały swój cel! Z jakąś skrzętną uwagą przeszukiwali wszystkie zakamarki tej części sfery niebios...! To na takiej a takiej wartości prawej rektascensji² i takiej deklinacji¹ bolid

¹ *Zenit* – punkt na niebie usytuowany dokładnie ponad pozycją obserwatora; jest jednym z dwóch miejsc przecięcia lokalnej osi pionu ze sferą niebieską.

² *Rektascensja* – współrzędna astronomiczna w układzie równikowym równonocnym, kąt między płaszczyzną koła godzinnego punktu równonocy wiosennej a płaszczyzną koła godzinnego obiektu.

ukazał się im po raz pierwszy, aby przemknąć następnie dokładnie przez zenit Whastonu, tego byli pewni.

I nic, w tym miejscu niczego nie było! Całe to przejaśnienie było puste, choć zapewniło meteorom tak wspaniałą przestrzeń do wędrówek! Żaden punkt nie był widoczny w tym kierunku! Ani śladu asteroidy.

– Nic! – powiedział pan Dean Forsyth, przecierając oczy czerwone od krwi, która napłynęła mu pod powieki.

– Nic! – rzucił Omikron niby skarżące się echo.

Było za późno, aby przedsięwziąć nowe poszukiwania. Chmury wracały, ponownie zasnuwały niebo. Przejaśnienie dobiegło końca, tym razem nie miało wrócić do końca dnia! Obłoki połączyły się wkrótce w jednolitą brudnoszarą masę, z której spływała mżawka. Trzeba się było wyrzec wszelkich obserwacji, ku wielkiej rozpaczcy pana i służącego.

– A przecież – powiedział Omikron – mamy pewność, że go widzieliśmy.

– I to jaką pewność...! – zawołał pan Dean Forsyth, wznosząc rękę ku niebu.

Potem głosem, w którym zgryzota mieszała się z zawiścią, dodał:

– Jesteśmy nazbyt pewni, gdyż inni mogli go widzieć tak samo jak my... Obyśmy byli jedyni...! Brakuje tylko, żeby on także go dostrzegł, on... Sydney Hudelson!



¹ *Deklinacja* – współrzędna astronomiczna w układzie równikowym i go-dzinnym, kąt między kierunkiem od obiektu do obserwatora a płaszczyzną równika niebieskiego.

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!